

# Ratzeburg

Do Ratzeburga delegacja Rady Miasta Sopotu pojechała 2 czerwca '94 odpowiadając na liczne, stale ponawiane zaproszenia tamtejszych władz. Burmistrz Ratzeburga był już w Sopocie w ubiegłym roku i oddał zabiegając o formalne podpisanie umowy o partnerstwie, wspomagającej poczynania naszych niewielkich społeczności.

Ratzeburg liczy ok. 25 tys. mieszkańców i leży na wyspie położonej na jeziorze, usytuowanym malowniczo wśród wzgórz Szlezwika Holsztyna na zachodzie, i Meklemburgii na wschodzie. Jezioro sięga przedmieść Lubeki, królowej miast hanzeatyckich. Sam Ratzeburg, oddalony od Lubeki o 20 km, był od średniowiecza siedzibą biskupstwa - w podziemiach katedry zbudowanej na sporej wyniosłości spoczywa na wieki dwudziestu biskupów sprzed rozłamu Kościoła. Wschodni brzeg jeziora był do niedawna granicą wolnego świata, od brzegu na wschód leżała republika demokratycznych Niemców - DDR. Tradycyjna granica między Meklemburgią a Szlezwikiem Holsztynem przebiegała środkiem wyspy, a w środku jednej z ulic, o czym świadczy stosowana tablica. Obecnie mieszkańcy wyspy nie pragną powrotu do tradycji. Wolą zostać przy Szlezwiku.

Z katedralnego wzgórza szef miejscowego (komunalnego) Zakładu Oczyszczania, który pomagał nam jako tłumacz, pokazując wschodni brzeg jeziora mówił z naciskiem, że do tego miejsca doszli Rosjanie i tam jeszcze do niedawna byli.

"Nie tylko Rosjanie - dopowiadał - mój ojciec też tam doszedł." - "A mój pod Moskwę - ripostuje z uśmiechem rozmówca. - Ze Śląska jest nasza rodzina, dlatego mówię po polsku".

Śmiejemy się obaj ze zrozumieniem. Później spotykamy jeszcze innych "tłumaczy": pana Doleckiego, który będąc Niemcem, a mając polskobrzmiące nazwisko, postanowił nauczyć się polskiego... od sąsiada Polaka. Polak ów nie mówił najlepiej, więc i pan Dolecki posługuje się zabawnym, robotniczo-chłopskim żargonem ("...jedźta to bo dobre, a zaraz zabiorą"). Doceniamy jednak zapał do nauki - chciałbym mówić po niemiecku, jak Dolecki po polsku.

Pomaga nam też, i to bardzo, Dagmara, która prowadzi kancelarię pastora zawiadującego katedrą. Jako dziewczynka była katoliczką, obecnie jest w kościele protestanckim. Gdy była dziewczynką, mieszkała w Radziejach na Mazurach, miejscowości położonej u nasady przemyku oddzielającego jezioro Łobskie, Łabap i Dargin od Jeziora Mamry. Z tamtej wyjechała, gdy miała lat 13. Jeździ w swoje rodzinne strony, ale na pytanie starszego pana - uczestnika ceremonii podpisania umowy, zachwyconego biegłością jej translacji, odpowiada zdecydowanie: - "Jestem Niemką".

Dagmara opowiada nam o chrześcijaństwie niemieckim. - "Jutro jest niedziela, na jedyne nabożeństwo w katedrze przyjdzie może pięć, może siedem osób. Pastor jest urzędnikiem państwowym, wykonującym swą pracę. Mieszkańcy deklarują swoje wyznanie przed władzami podatkowymi. Jeśli chcą, płacą o 10% większe podatki, z których utrzymuje się zbory i duchowieństwo. Gdy nie chcą, nie płacą, ale wtedy i na nabożeństwo iść niesporo".

Na pytanie o chrześcijańską Europę smutno rozkłada ręce.

Czas wspomnieć, że i dwaj najważniejsi ludzie w mieście noszą polskie nazwiska. Bernd Zukowski jest już drugą kadencję burmistrzem. Przewodniczącym Rady Miasta nazywa się Kozłowski. Gdy więc ktoś zwraca się doń głośnie: "Herr Kozłowski!", nieodmiennie padają pytania: "nasz czy wasz?" Obaj panowie, bardzo sympatyczni, są oczywiście Niemcami i po polsku nie mówią.

Przyjmują nas niezwykle gościnnie. Ceremonia podpisania umowy odbyła się w Wielkiej Sali Ratusza. Uświetniali ją chór męski, a uczestniczyli w niej przedstawiciele wszystkich organizacji społecznych i politycznych, działających w mieście. Wielu z nich wygłosiło wyrażające zadowolenie okolicznościowe

przemówienia. Jeden z mówców posunął się do wygłoszenia przemówienia po polsku, posługując się słownikowym zapisem fonetycznym. "Panimajesz?" - pytał mnie od czasu do czasu, gdyż stałem blisko. "Da, da!" - odpowiadałem. Śmiechu, ale dobrego, było wiele.

Umowa między Ratzeburgiem a Sopotem jest dość ogólnikowa - uważamy, że życie dopisze stosowne akapity, jeśli tylko będzie taka potrzeba. Umowę podpisywaliśmy już po ustaniu kadencji poprzedniej Rady, tak że ze strony polskiej podpisał ją jedynie prezydent Kozłowski, przy asyście Tomasza Tabeau, naówczas byłego wiceprzewodniczącego Rady.

Ukonstytuowana wczoraj Komisja Współpracy Zagranicznej obecnej Rady, nader liczna, będzie miała więc stosowne pole do popisu.

Podpisanie umowy obie delegacje (sopocka pięcioosobowa - Kozłowski, Tabeau, Rutkowski, Fułek i niżej podpisany; ratzeburska zaś nader liczna) uczciły wspólnym obiadem w liczącej sobie pięćset lat lubeckiej restauracji pamiętającej wielodniowe bibki kapitanów żaglowców, przemierzających dopiero co odkryte szlaki.

Do restauracji zgłosić się trzeba trzy miesiące wcześniej, czas jest limitowany, bo inni już czekają, nie gra żadna muzyka - jeśli nie liczyć gwaru i śmiechu licznych zadowolonych ludzi. Lubeka ładna choć zimna, i dosłownie, i w przenośni. Zabytkowa architektura współgra z nowoczesną, ale ją wychładza. Na centralnym deptaku miasta rozłożyli się obozem; rozstawili namioty, rozłożyli materace, palą ogień, w kociołku warzą strawę jacyś ludzie, nie robiąc sobie z przechodniów. Alternatywni - mówi o nich burmistrz. Z zadowoleniem zauważam, że zdołali wbić śledzie namiotów między kostkę ułożoną ciasno jak u nas, na Bohaterów Monte Cassino.

Obserwujemy i porównujemy dość często. Niemcy zachowują się inaczej niżli ci, których znamy z naszych turystycznych wojaży. Są serdeczni i wylewni. O bardzo wielu sprawach mówimy bez zahamowań, do końca szczerze.

Szybko dochodzimy do wniosku, że obecna Polska może rozwinąć się, przebyć niemiecką drogę do dobrobytu szybciej, niż oni to zrobili. Oni już to zrobili - i teraz odczuwają pustkę.

"Nie nasza wina, że macie tak dobrze, wy biedacy" - podsumowuje nocną dyskusję Tomasz Tabeau.

Złota myśl Tomka, przetłumaczona i zapisana na podstawkach pod piwo, staje się maksymą naszej wizyty. Zwariowany bar Kim-Bim, w którym spędzamy ostatni wieczór, mieści się w nobliwym niczym ratusz domu przy rynečku w sercu miasta. Wewnątrz atmosfera wesołości i szaleństwa, spotęgowana szaloną architekturą baru, superbarmanką Petrą fruującą z piwem rubinowym, które warzy się w mieście od wieków średnich i z którego miasto słynie, a nazywa się ono Rommel Deus.

\*\*\*

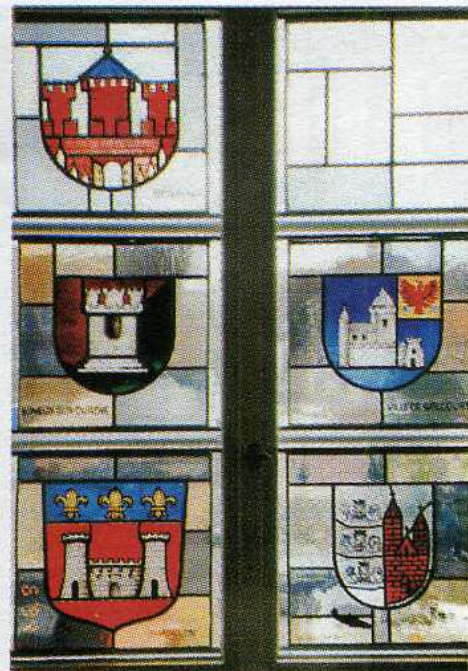
Wracamy przez Meklemburgię, porzucając autostradę. Mijamy sennie wsie i miasteczka, ponie-mieckie, chciałyby się rzec. Trzy lata po zburzeniu muru Niemcy bogate połączyły się z biednymi - i nie widać tego.

Do pełnego obrazu brakuje mi tubylców siedzących w kucki przy drodze w oczekiwaniu na paciorki, perkalik czy mannę z nieba.

Takich Niemiec nie spodziewałem się ujrzeć. Po przekroczeniu granicy - jakaż ulga.

Tu, w Polsce nie marnujemy szansy, nie zasypujemy gruszek w popiele. Nie mając bogatej drugiej Polski nie czekamy na cud. Bary, barki, warsztaciki, domy zajazdy, hoteliki i całkiem duże hotele cieszą oko, budzą optymizm. "Nie narzekajcie" - przestrzegali nas Czesław Miłosz kilkakrotnie w Sopocie w listopadzie ubiegłego roku. Powtarzam w myśli te słowa w drodze do Gdańska.

Tekst i zdjęcia: Andrzej Ostrowski



Puste miejsce w witrażowym oknie ratusza czeka na herb Sopotu



"Pomaga nam też, i to bardzo, Dagmara..."



"z superbarmanką, Petrą fruującą z piwem..."